

NOC KAPŁANÓW

ROZDZIAŁ 1

Warszawa, rok 2007

Doktor Błażej Kulawik – rzeński czterdziestolatek z kartoflastym nosem, buzią okrągłą jak wiejski bochenek chleba, ale za to kobieco uroczy, jak twierdziła większość pielęgniarek – niebieskimi oczami, uśmiechnął się od ucha do ucha z niekłamaną radością i trzeba przyznać – wdzięcznością, że doktor Aleksandra Sambierska raczyła z łaski swojej, wrócić z urlopu. Gdy więc ujrzał ją w drzwiach gabinetu, mógł spokojnie zwalić swoje co najmniej o trzydzieści kilo za ciężkie ciało z powrotem na wygodny fotel i odetchnąć z ulgą.

Kolega Kulawika, jego rówieśnik, zresztą kumpel ze studiów - Zenon Jabłoński, lekarz sumienny, dokładny i wnikliwy, ale nijak nie umiejący pozbyć się abnegackiego wyglądu, przysypiał na kanapie pod ścianą. Machnął tylko niedbale ręką reagując oszczędnie na powrót koleżanki do pracy i zaszczycając ją tylko krótkim - Cześć Marchewa! – na powitanie.

Rudowłosa, drobna, niska pani doktor była uwielbiana przez ordynatora, bardzo lubiana przy tym – co może trochę dziwne - przez kolegów i zwykle szanowana przez pacjentów. Przynajmniej tych, którzy choć trochę łapali o co dookoła chodzi. Jako psychiatra znana była z odczytania, dociekliwości i nieuleczalnej miłości do przypadków ciekawych i trudnych. Pewnym wyjątkiem był tu poniekąd jej mąż – przypadek klasycznie ciekawy i trudny, który dwa lata temu wymienił

ambitną żonę lekarkę, na dziewiętnastoletnią absolwentkę szkoły zawodowej w Koluszkach o kierunku kulinarnym czy żywieniowym – w każdym razie czymś związanym z żarciem. W tym przypadku diagnoza i rokowanie było raczej niepomysłne. Żyje im się od tej pory podobno wspaniale – ona jako zastępczyni bufetowej dba z poświęceniem o żołądek nowego męża, on rewanżuje jej się tym, że stosunkowo rzadko truje o filologię klasyczną, ograniczając się do wykładów na uczelni. Samotna pani doktor przeboleła już stratę, ale od tego czasu żaden poważny mężczyzna w jej życiu się nie pojawił. Podobno...

Obchodząc ostatnio swoje trzydzieste piąte urodziny nikogo nie zaprosiła, nie urządziła przyjęcia, a tylko kupiła sobie dobry koniak i toastując do lustra udawała, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Koledzy nadal uważali, że prześliczne piegi i uroczy uśmiech nadal ją zdobiły, a kretyn mąż może się schować! Choć niewdzięczny filolog klasyczny nigdy nie mówił, że odchodzi bo żona nie może mieć dzieci, ale jakoś tak się złożyło, że pani bufetowa w ciążę zaszła niemal natychmiast i bobas ma już prawie rok. Ktoś ze wspólnych znajomych go podobno widział, więc szybko doniesiono opuszczonej zdradziecko Oli, że jest brzydkie, czerwone i wiecznie drze mordę. Trochę pomogło.

- Jak było? - spytał wstępnie Kulawik.
- Znośnie. Pobiegałam trochę po górach – Ola opadła na fotel po drugiej stronie jego biurka – A co u was?
- Ciekawie. Nawet Zenio tak twierdzi.
- Widzę – prychnęła z przyjacielskim zresztą uśmiechem.

Zenio nadal przysypiał na kanapie.

- Weź się jakoś zachowuj! – skarcił go Kulawik.
- Spadaj grubasie! – mruknął nie otwierając oczu Jabłoński.
- Chcemy o nim pogadać, jełopo! – nalegał.

Zenio otworzył wstępnie oczy i pokręcił z niezadowoleniem głową.

- Nie daj się zrobić, Marchewa – ostrzegł zdradziecko, posyłając rewanżystowski uśmiech koledze.
- Podniecacie mnie, łobuzy! Tamten już naopowiadał mi przez telefon, że macie coś, czego jeszcze nie widziałam. Gadajcie do cholery!

Zenio przyjął powoli postawę siedzącą.

- Przyjechał do nas z neurologii – zaczął Kulawik – Mężczyzna, 28 lat, do tej pory nie wykazujący żadnych odstępstw od normy. Trzy tygodnie temu stracił nagle przytomność, zaczął gorączkować, nie można było nawiązać z nim sensownego kontaktu. Przewieziono go do szpitala na Sobieskiego. Wyglądało na ostre zapalenie mózgu.
- No i? – spytała przepisowo Ola.
- To nie było zapalenie mózgu – Kulawik wyjął z otwartej teczki jeden z dokumentów i podał koleżance – Tu masz płyn mózgowo rdzeniowy. Zrobili jeszcze rezonans, EEG i też guzik.
- Co to znaczy „guzik”?
- Rezonans czysty – wtrącił Jabłoński- A w EEG tyle było artefaktów, że nie mogli niczego stwierdzić.
- Od kiedy jest u nas? – spytała Ola.
- Od dwóch tygodni – odparł Kulawik – Przyjechał niedługo po tym jak ty wyjechałaś.
- I chcesz, żebym go teraz przejęła? Po takim czasie? Co tak naprawdę stwierdziliście?
- Wszystko – mruknął znudzonym tonem Jabłoński.
- Pytam poważnie, Zeniu.

- A ja ci poważnie odpowiadam. Przerobiliśmy z nim tu chyba wszystkie możliwe psychozy. Jakby jaja sobie z nas robił.

Sambierska spojrzała powątpiewająco na Kulawika.

- O czym wy gadacie?
- Olu, nigdy czegoś takiego nie widziałem – oświadczył śmiertelnie poważnie Kulawik – Można było u niego stwierdzić objawy parafreniczne z wszelkimi możliwymi omamami i urojeniami, paranoję presukotorię, paranoję inventorię, rozszczepienie struktury osobowości, hebefrenię, katatonię, osobowość wieloraką, co tylko chcesz, codziennie co innego.
- To niemożliwe – przerwała Ola – To musi być jakieś oszustwo.
- Szkoda, że tego nie widziałaś – Zenio również stał się kamiennie poważny.
- Mówcie, co po kolei – rozłożyła ręce Sambierska.
- U nas zaczął od silnych stanów pobudzeniowych i lękowych – ciągnął Kulawik – Widział Boga, diabła, anioły, historię świata, cytuję – „tysiące żyć”, czasy pradawne oraz te mniej pradawne i tak dalej. Później był po kolei jakimś urzędnikiem królewskim w starożytnej Krecie, następnie wojownikiem rzymskim, Wikingiem, a nawet jednym z pułkowników Władysława IV. Doraźnie jechaliśmy na benzodiazepinach i obserwowaliśmy, bo żadnej terapii nie mogliśmy wprowadzić dla kogoś komu wystawialiśmy codziennie inną diagnozę.
- Chcesz powiedzieć, że jeszcze się coś zmieniło?
- Potem się trochę uspokoił i zaczął mówić w jakichś obcych językach i nie mówię tu o angielskim czy francuskim, ale

takich, których by chyba żaden poliglota nie zrozumiał. Zaczął udawać karatekę, albo kogoś takiego.

- Uuuu... Jest unieruchomiony?
- Nie, nikomu nie robił krzywdy. Ograniczył się do „treningu”. Odosobniliśmy go na pewien czas, ale nie było z tego punktu widzenia kłopotów, więc wrócił do normalnej sali, pod okiem sanitariusza.
- Jak bystry?
- Ja za nim nie nadążam, a ty? – mruknął do Zenia.

Jabłoński machnął tylko ręką.

- Może poczekać na starego? – zaproponowała wreszcie Ola.
- Stary wraca za dwa tygodnie ze Stanów, to raczej nie wchodzi w grę – odparł Kulawik.
- No dobra, od kogo go przejmuję?
- Od nikogo.
- Słucham?
- No, powiedzmy ode mnie – bąknął Kulawik – Nie postawiono ostatecznej diagnozy, więc nie przydzieliłem go jeszcze nikomu, czekałem na ciebie. Dość dokładnie opisałem historię choroby, w teczce masz badania i wszystko co zdołaliśmy zgromadzić.

Ola pokiwała głową, wstała z fotela i wolno przeszła się po gabinecie.

- Te urojenia z osobami, z którymi się identyfikował... może on przerabia swoje poprzednie wcielenia? Może wierzy że...
- Raczej nie – przerwał Zenio.
- Dlaczego?

- Był rycerzem imperium karolińskiego i jednocześnie rzymskim kupcem. Podawał nam nawet dokładne daty. Żyli niemal równocześnie.
- Jak on to wyjaśnia?
- Nie wyjaśnia - rozłożył ręce Kulawik – Nie wie dlaczego go to spotkało.
- To już coś – przytaknęła z zadowoleniem Ola – Będzie jak się od tego odbić. Może nawet wykorzystam jakoś te wcielenia...
- Będzie ciężko, to katolik.
- Dziewięćdziesiąt procent Polaków tak mówi, z czego połowa nie pamięta kiedy ostatni raz była w kościele.
- Ten dokładnie pamięta.
- Jesteś pewien?
- Ponad wszelką wątpliwość - Kulawik zamknął teczkę pacjenta i przesunął na drugą stronę biurka, aby Ola mogła się z nią dokładnie zapoznać.

Ksiądz Krzysztof Lorent wstał spokojnie z łóżka. Postanowił, że przejdzie się po korytarzu i jeszcze raz uporządkuje nowe myśli.

- Masz papierosa? – spytał jak zwykle Jacuś, pacjent z sąsiedniego łóżka. Był o kilka lat młodszy od Lorenta, chorobliwie chudy i wiecznie przygarbiony. Spotkał się z nim wzrokiem na bardzo krótko i nie czekając na odpowiedź pobiegł gdzieś w pośpiechu.

Krótki, urywany śmiech starszego człowieka z trzeciego łóżka zawisł nagle w powietrzu. Krzysztof ruszył wolno do

otwartych przed chwilą przez Jacusia drzwi. Wyszedł na korytarz i skręcił w lewo, w stronę okratowanych drzwi na końcu przejścia. Niewysoka lekarka, która szła w przeciwnym kierunku wprost do niego ujęła Krzysztofa ciepłym, uroczym uśmiechem.

- Mogę zająć księdzu kilka minut? – spytała uprzejmie, gdy już się spotkali.
- Oczywiście – odparł przytakując lekko.
- Może usiądziemy? – wskazała wolną ławkę stojącą pod ścianą

Krzysztof usiłując puścić ją przodem zatrzymał się na chwilę, ale instynkt doświadczonego psychiatry natychmiast zareagował – „nigdy nie stawać do pacjenta tyłem”. Ujęła go więc z uśmiechem pod ramię i tak dobrnęli do ławki.

- Nazywam się Aleksandra Sambierska – przedstawiła się lekarka - Nie znamy się jeszcze, ale pracuję na tym oddziale.
- Przydzielono panią do mnie? – spytał nieśmiało Krzysztof
- „Przydzielono” to może niezbyt dobre słowo, proszę księdza, ale będziemy często się spotykać i ze wszelkimi problemami proszę zwracać się do mnie.
- Pani jest katoliczką?
- Nie – odparła szczerze – Jestem niewierząca.
- Mówi pani o Bogu?
- Nie rozumiem.
- Mówiąc, że jest pani nie wierząca, miała pani na myśli wiarę w Boga?
- Oczywiście.
- Nie zawsze to takie oczywiste. Jean Paul Sartre twierdził, że znacznie więcej wiary należy z siebie wykrzesać usiłując

uwierzyć w materialny początek świata, a potem w teorię ewolucji niż starając się uwierzyć w istnienie potęgi duchowej, która ten świat powołała do życia.

- Ciekawy pogląd, choć o ile pamiętam ze szkoły, Sartre był człowiekiem ogólnie rzecz ujmując słabej wiary.

Krzysztof przyznał jej uśmiechem rację.

- Co jest w takim razie dla pani podstawą do optymizmu? – spytał zakładając nogę na nogę.
- Życiowego?
- Tak. Co sprawia, że chce pani codziennie rano się budzić, działać, stawiać przed sobą zadania?
- Właśnie to. Samo przez się. Warto żyć dla codziennych małych kłopotów, dla dobrej herbaty i smacznego śniadania, dla pracy i pożytecznych działań, dla oglądania nieba codziennie nad sobą i cieszenia się słońcem. Warto.
- Pani jest samotna... – wtrącił cicho Krzysztof
- Nie czuję się samotna – skłamała lekarka zaskoczona lekko tą uwagą – Biorę to, co daje mi świat. A skoro Bóg stworzył świat, to musi być on najdoskonalszym z możliwych – roześmiała się wesoło.
- Bardziej bym panią podejrzewał o cytowanie Woltera niż Leibniza.
- Liczę, że wykaże ksiądz trochę zrozumienia i tolerancji współpracując ze mną.
- To już terapia?
- To po prostu rozmowa – skłamała ponownie Ola.
- Proszę mnie tak nie nazywać – poprosił uprzejmie pacjent
- Jak?
- Proszę nie tytułować mnie księdzem. Pełnię tu zupełnie inną rolę.

- Jak się księdzu wydaje, jaką?
- Pacjenta. I chyba niewiele się w tej kwestii myślę – odparł spokojnie.

Lekarka roześmiała się szczerze.

- No tak. Myślałam, że ksi...
- Krzysztof
- ...że co innego możesz mieć na myśli, Krzysztofie. Ja co prawda pełnię tu rolę lekarki, ale proszę mówić do mnie Aleksandra. I jeśli pozwolisz zadam ci kilka pytań. Niektóre będą dla ciebie trochę głupie, ale taka jest tu procedura.
- Proszę – zgodził się gładko.
- Wiesz dlaczego się tu znalazłeś?
- Oczywiście.
- Przypomnisz mi?
- Mam objawy kilku ciężkich psychoz.

Ola mimo, że przyzwyczajona do profesjonalnego typu zachowania wobec pacjentów, nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Znasz się na psychiatrii? – wybrnęła niezbyt mądrym pytaniem
- Na tyle na ile ksiądz się powinien na tym znać. Zaskoczyło cię, że zdaję sobie sprawę ze swojego stanu?

Lekarka przez chwilę milczała.

- Nie, zastanawiam się czy moglibyśmy porozmawiać o twojej pamięci...
- Chętnie porozmawiam na ten temat, ale nie teraz.
- Dlaczego?
- Chyba oboje nie jesteśmy jeszcze na to gotowi, a już na pewno nie jesteśmy wobec siebie szczerzy, a to warunek konieczny do takiej wymiany myśli.

- Nie jesteśmy szczerzy? – powtórzyła Ola
- W rozmowie ze mną skłamałaś przynajmniej pięć razy, ja tylko raz. To niesprawiedliwe.

Lekarka postanowiła nie zaprzeczać.

- Idę teraz na obchód – uśmiech nie zniknął z jej ust – Przemyślę co mi powiedziałeś i wrócę za kilka godzin, zgoda?
- Zgoda.

Grupa lekarzy weszła wolno do kolejnej sali. Zanim jednak Kulawik zdążył zacząć, jeden z asystentów podszedł do niego szybko i szepnął coś do ucha. Lekarz skinął na Jabłońskiego, aby poprowadził obchód dalej, klepnął w ramię Sambierską i oboje wyszli na korytarz. Przeszli kilka metrów w stronę jego gabinetu, kiedy nagle się zatrzymał.

- Nie zdążyłem zapytać – rozejrzał się po pustym korytarzu – Jak ci z nim poszło?
- Mądrała straszny – mruknęła Ola.
- Dasz sobie z nim radę?
- Poczytam trochę Tatarkiewicza i powinnam opanować sytuację – uśmiechnęła się zdawkowo.
- Pytam poważnie.

Ola rozłożyła ręce i zastanowiła się przez chwilę.

- Lubi mieć kontrolę. Urządził sobie seans, na którym czułam się jak pacjent i pewnie o to mu chodziło. Na pierwszy rzut oka chyba mnie polubił. Przygotowuje mnie.

- Do czego?
- Do tego, aby powiedzieć kilka rewelacji, w które mam uwierzyć. Chce mnie przekonać, że nie jest chory.
- Od czego zaczniesz?
- Od schizofrenii paranoidalnej.
- Ostrożnie – Kulawik zajrzał jej głęboko w oczy – Nie dopasowuj własnych teorii do pacjenta.
- Spokojnie, czytałam to co mi dałeś. To rzeczywiście bardzo nietypowy przypadek, szczególnie biorąc pod uwagę przebieg pierwszej fazy ataku choroby, ale na początku chcę właśnie to wykluczyć. W przeciwnym razie zaproponuję terapię w tym kierunku.

Kulawik spojrzał w stronę sali, z której właśnie wyszli lekarze, aby przejść do następnej.

- Jego proboszcz jest w moim gabinecie – powiedział po chwili.
- Mam z tobą iść?
- Tak

Chatillon południowa Francja rok 2007

Aureil zamknął oczy i opuścił głowę. Milczał bardzo długo. Luigi Balea był przekonany, że mistrz się modli. Nie śmiał mu przerywać, więc czekał. Złożył ręce jak do rozmowy z Bogiem i obserwował wychudzoną, drobną, ale wciąż wzbudzającą w nim lęk postać nauczyciela.

- Czy to pewne? Odezwał się po dłuższym czasie Aureil.

- Wszystkie znaki na to wskazują – odpowiedział Luigi schylając nisko głowę i nie chcąc spotkać wzroku starca.

Aureil niespiesznie przebiegł dłonią po siwych włosach.

- Tyle razy już myliliśmy się... – mruknął cicho jakby do siebie.
- Teraz to naprawdę zupełnie co innego, ojczu.
- Krótko żyjesz, chłopcze – pokręcił głową starzec – Przypomnij mi ile masz lat?
- Dwadzieścia siedem.
- Hmm – przez ponure oblicze Aureil`a przez sekundę przebiegła zapowiedź ledwie zauważalnego, ale jednak uśmiechu – Sześćdziesiąt lat temu, kiedy byłem w twoim wieku też już kilka razy myślałem, że go znalazłem, że w końcu się pojawił... I jak do tej pory zawsze się myliłem, podobnie jak mój ojciec i jego ojciec...
- Musimy spróbować! – zdobył się na odwagę Luigi podnosząc głos, ale wyczuł na sobie karcące spojrzenie mistrza, więc zamilkł.
- Nie mam swoich dzieci – Aureil zaczął wolno przechadzać się po sali – Mam tylko was i tę straszliwą wiedzę, którą przekazywano mi przez pokolenia. Muszę jej uczyć. Wy jesteście następni. Takie jest nasze przeznaczenie. Zamek, w którym mieszkamy ma ponad czterysta lat. Jest tu wszystko co zgromadziła przez ten czas moja rodzina. Wiesz co by było, gdyby jakikolwiek nierozważny ruch zakłócił nam spokój?
- Wiem, ojczu, zdaję sobie z tego sprawę – jęknął cicho chłopak.
- Wiesz jaka ciąży na nas odpowiedzialność?
- Tak ojczu!

- I dalej uważasz, że go znaleźliście?!

Luigi odważnie podniósł wzrok.

- Tak, ojcze!

Starzec zmarszczył brwi i znów przez kilka minut milczał.

- No dobrze – odezwał się wreszcie – Przygotujmy się więc. Niełatwo będzie się z nim zmierzyć. Aha, i na razie trzymaj Iosifa z dala od tego.

- Tak, mistrzu.

- Zostaw mnie teraz samego.

- Przygotowywałem się na to całe życie! – nie ustępował Luigi.

- Ale krótkie życie – westchnął smutno Aureil - Bardzo krótkie życie. Wyjdź i zostaw mnie samego.

Ksiądz proboszcz Alojzy Demel wydusił z siebie prawie uprzejmy uśmiech, kiedy Ola i Kulawik pojawili się w drzwiach gabinetu, ale wyraźnie przyszło mu to z trudem. Doktor Błazej – jak nazywali go chyba wszyscy w szpitalu, nawiązując do słynnego niegdyś „Szpitala na peryferiach” z satysfakcją zauważył, że duchowny jest jeszcze grubszy od niego i nawet obszerna sutanna nie jest w stanie tego ukryć. Takie momenty poprawiały mu zwykle humor i radośniej nastrajały do rozmowy.

- Witam księdza! – wyciągnął rażno dłoń – Herbaty, kawy?

- Nie, dziękuję – odparł uprzejmie, ale chłodno gość.

- Usiądźmy - zaproponował Kulawik i wskazał duchownemu kanapę.

Oli nie podobało się protekcjonalne spojrzenie i drażniący jej zdaniem sposób bycia klechy, ale na razie postanowiła nie dawać tego po sobie poznać.

- Przejdę od razu do rzeczy – zaczął Demel przymrużając oczy – Jak długo to może potrwać?
- Rozumiem, że chodzi o pobyt księdza Krzysztofa w szpitalu? – upewnił się Kulawik.
- Oczywiście.
- Przy takich schorzeniach to bardzo trudne do określenia – wyznał szczerze lekarz – Może kilka tygodni, może wiele lat.
- Jak to?! – na duchownym wyraźnie ta wiadomość zrobiła piorunujące wrażenie – Przecież go leczycie!
- Tak, ale to nie takie proste – skinął głową Kulawik – Ksiądz Krzysztof nie ma grypy, ani anginy. Obawiamy się, że zapadł na ciężką psychozę i możliwe, że będzie się z nią zmagał do końca życia.

Nawet Olę nieco zdumiał twardy ton w jakim przemawiał doktor Błazej.

- To znaczy, że nie wróci do nas? – spytał wyraźnie drżącym głosem proboszcz.
- Nie wiemy.
- Czy jesteście państwo katolikami? – ksiądz wyraźnie starał się opanować.
- Przepraszam – wtrąciła Ola – Co to ma za znaczenie w tym momencie?

- Chcielibyśmy, aby lekarz prowadzący księdza Krzysztofa był wyznania rzymsko – katolickiego - wyjaśnił proboszcz tonem wyraźnie nie znoszącym sprzeciwu.
- To szpital państwowy – podjął zdecydowanie Kulawik – Od naszego personelu nie wymagamy zaangażowania religijnego tylko profesjonalizmu. Ksiądz Krzysztof jest nie tylko kapłanem, ale także obywatelem tego kraju i podlega przede wszystkim prawu, które narzuca na nas ustawa. Nie ma tam ani słowa o obowiązku bycia członkiem jakiegokolwiek wspólnoty religijnej.
- W takim razie przeniesiemy księdza Krzysztofa do innej placówki – odparł chłodno proboszcz.
- Nie wyrażamy na to zgody – oświadczył spokojnie lekarz
- Chory ma chyba prawo do wyboru placówki, w której jest leczony!
- Nie w tym stanie. O zmianie tej decyzji może zadecydować tylko sąd na podstawie wniosku rodziny.
- Jediną rodziną księdza Krzysztofa jesteśmy my.
- Rozumiem, ale z prawnego punktu widzenia to nie jest wiążące. Została wydana decyzja ubezwłasnowolniająca tego pacjenta na czas nieokreślony. Oznacza to, że nie może on kierować własnymi poczynaniami do odwołania.
- To nie do przyjęcia – jęknął ksiądz.
- Przykro mi.
- To bardzo niezręczna sytuacja dla naszej parafii, dlaczego państwo jako lekarze nie chcą z nami współpracować?!
- Na razie słyszę żądania, a nie chęci współpracy – Kulawik nawet na chwilę nie stracił zimnej krwi.

Proboszcz odczekał chwilę, którą najprawdopodobniej zużył na tłumienie w sobie gniewu i spróbował jeszcze raz.

- Co jako parafia, możemy zrobić dla Krzysztofa? – spytał prawie spokojnie.
- To co związane z potrzebami religijnymi staramy się naszym pacjentom zapewnić. Nasza kaplica jest czynna cały czas. Myślę jednak, że teraz potrzebny mu przede wszystkim spokój.
- Możemy go swobodnie odwiedzać?
- W wyznaczonych godzinach, tak.

Duchowny spuścił głowę. Stracił rezon i zrobił się gwałtownie smutny.

- Możemy księdzu zadać kilka pytań? – wtrąciła Ola.
- Proszę – mruknął cicho.

Sambierska spojrzała kontrolnie na kolegę. Kulawik przytaknął nieznacznie głową.

- Wiem, że to dość ogólnie ujęte – zaczęła – ale jaki ksiądz Krzysztof był przed chorobą? Wyglądał raczej na introwertyka czy człowieka otwartego? Na smutnego, wesołego, pogodnego... no wszystko co ksiądz pamięta?

Ten temat wyraźnie się proboszczowi spodobał. Wyduślił z siebie nawet uśmiech, splótł palce i spojrzał na chwilę w górę co chyba pomagało mu w skupieniu.

- Krzysztof to młody duchowny. Przepełniony wiarą i miłością. Otwarty do ludzi, radosny... Z pokorą przyjmujący smutki.

Rany boskie... – jęknęła w myślach Ola – gdzie oni się tego uczą?

- Proszę księdza – powiedziała na głos – Jesteśmy lekarzami, a to jest szpital, w którym leczymy ludzi, a nie odprawiamy rekolekcje ignacjańskie.

- Nie rozumiem – gniew powoli wracał na oblicze proboszcza.
- Proszę powiedzieć coś o pacjencie! Coś co może nam się przydać. A nie oficjalną formułkę o tym jak powinien wyglądać idealny duchowny.
- Pani chyba rzeczywiście dawno nie była w żadnej świątyni.
- Jestem ateistką – odparła zniecierpliwiona.
- Nigdy nie wpuściła pani Chrystusa do serca?
- Nie rozmawiamy na mój temat – Ola nigdy nie przepadała za księżmi, ale ten wyjątkowo ją drażnił.
- Co jeszcze można o nim powiedzieć... – rozłożył ręce proboszcz
- Jak ksiądz myśli, dlaczego nasz pacjent został duchownym? Jest wysokim, przystojnym mężczyzną – Ola postanowiła, że czas podręczyć klechę.

Kulawik rzucił jej subtelne, ale jednak bardzo krytyczne spojrzenie. To było głupie i niepotrzebne. Popisy pani doktor tylko dodatkowo rozdrażnią i tak niełatwego rozmówcy, leczenie utknie w martwym punkcie, a czas naglił.

- Proszę sobie wyobrazić, że jest coś więcej niż przyziemność i materialna pustota – rzucił nieprzyjemnym tonem proboszcz – Podejrzewam, że trudno to pani zrozumieć, ale Krzysztof czuł powołanie od wczesnego dzieciństwa. Wiem to od jego świętej pamięci rodziców. Później głęboka wiara pogłębiała w nim potrzebę służenia Bogu i Kościołowi.
- Ksiądz Krzysztof naszym zdaniem posiada rozległą wiedzę filozoficzną i historyczną – wtrącił Kulawik próbując uciąć ten do niczego nie prowadzący spór – Czym, pomijając

oczywiście duszpasterską posługę nasz pacjent szczególnie się interesował?

Proboszcz dopiero po dłuższym czasie przeniósł wzrok z Oli na jej kolegę.

- Był wyjątkowo zdolnym klerykiem. Jest bardzo czytany. Ma pan rację, interesuje się filozofią co u duchownych nie jest niczym szczególnie wyjątkowym. O jego zainteresowaniach historycznych nie wiem. Ale mogę śmiało powiedzieć, że mimo tak młodego wieku, już teraz przez wielu przełożonych postrzegany jest jako myśliciel o bardzo obiecującej przyszłości.
- Rozumiem – kiwnął głową lekarz – A jego osobowość? Proszę teraz być szczerym, czy miał miłe usposobienie, czy...
- ...Czy takie jak ja? – przerwał proboszcz w którego uśmiechu tym razem wyraźnie można było dostrzec ironię.
- Nie to chciałem powiedzieć – Kulawik starał się być maksymalnie uprzejmy.
- Bywam surowy – odparł wyniośle ksiądz – Ale przede wszystkim w stosunku do siebie. Posługa duchownego wymaga dyscypliny, to nieodzowne. Krzysztof nigdy nie dawał powodów do upomnień. Choć rzeczywiście – był i jest ciepłym człowiekiem, cieszącym się wyjątkową sympatią i poważaniem wśród wiernych.
- A czy... – lekarz zastanowił się przez chwilę – Wiadomo coś księdzu o niepokojach naszego pacjenta? Lękach, myślach które go w jakiś sposób prześladowały przed przyjściem tutaj?

Proboszcz uniósł do góry brwi stając się na chwilę jednym wielkim znakiem zapytania.

- Prawie każdy ma takie myśli, tyle tylko, że u zdrowych ludzi szybko mijają. Natomiast u niektórych... nie mijają i zaczynają być czymś na kształt obsesji – wyjaśnił Kulawik
- Zapowiedź choroby eksponuje się właśnie w taki sposób.
- Krzysztof nie miał tego typu myśli. Był skupiony na pomocy innym. Nie miał zbyt wiele czasu na siebie – odparł krótko proboszcz omijając skutecznie wzrok lekarza.
- To znaczy... ksiądz nie zauważył takich objawów – wtrąciła Ola wyraźnie akcentując słowo „ksiądz”.

Gniewne spojrzenie klechy wywołało złośliwą satysfakcję Sambierskiej.

- Nie mam już nic do dodania – powiedział oficjalnie proboszcz i uniósł się dostojnie z kanapy – Nie mam także zbyt wiele czasu, a chciałbym odwiedzić księdza Krzysztofa. Czy to możliwe w tej chwili?
- Oczywiście – odparł szybko Kulawik.
- Jest chyba w swojej sali – dodała Ola.

Duchowny lekko skłaniając głowę, ale bez słowa wyszedł z gabinetu.

Kulawik natychmiast przeniósł spojrzenie na koleżankę. Nic nie mówił, ale gdyby miał do dyspozycji gromy Zeusa nie wahałby się zesłać je na Sambierską.

- No co? – odezwała się wreszcie Ola.
- No gównno! – warknął przez zęby lekarz – Mogłabyś czasem puknąć się w głowę, albo najlepiej przebadać hormony?
- Nie lubię takich durniów jak on.
- To jest ksiądz! Duchowny, kapłan!
- I co z tego?!

- A to jest szpital! Twoja przeszłość nie może mieć wpływu na pracę! Jeśli wciąż nie umiesz zapanować nad tym co się wtedy stało, zabieram ci tego pacjenta.
- Ten pacjent to co innego.
- To też ksiądz.
- Jest inny.
- I wiesz to po kilku minutach rozmowy z nim i paru kartkach dokumentów?! – Kulawik zmarszczył w gniewie czoło.
- Czuję to.
- Czujesz to?! – lekarz pokręcił głową jakby nie dowierzał – Co to jest?! Film o amerykański gliniarzach, że masz „przeczcucia”?!
– Przepraszam, ledwo wróciłam z urlopu, zapomniałam się – Ola uniosła pojednawczo do góry rękę.
- Uspokoisz się?
- Tak.
- Przestaniesz szaleć?
- Ja nie szaleję.

Kolejne gniewne spojrzenie Kulawika przywołało ją do porządku.

- Ok. ok.! Od tej chwili wzniosę się na wyżyny obiektywizmu i niezależności, dobrze już? – jęknęła zrezygnowana Ola.
- Idź już do domu, zaczniesz od jutra – machnął ręką lekarz.
- Przecież jest dopiero jedenasta...
- Więc weź jego papiery i popracuj w domu. Ale zejdz z oczu temu proboszczowi!

Sala ćwiczeń wrzała od uderzeń drewnianych mieczy. Luigi Balea stojąc oparty o ścianę przypatrywał się obojętnie jak Iosif Punin okłada bezlitośnie czterech młodych „studentów”. Jego ruchy zaskakiwały regularnością i konsekwencją, jakby tańczył według określonego z góry schematu. Żaden krok, unik, uderzenie nie było przypadkowe, a szybkość - tak niewiarygodna, że pozwalała na „ustawianie” sobie „studentów” w najdogodniejszy sposób, nie zostawiając im chwili wytchnienia. Kiedy wreszcie uznał, że ćwiczenie dobiega końca bez trudu powalił na dębową podłogę każdego z nich w odstępie dosłownie ułamków sekund, ciosami niegroźnymi, ale bolesnymi i wymagającymi spędzenie przynajmniej minuty na podłodze. Iosif wyprostował się. Był ubrany tylko w czarne luźne spodnie do treningu. Całe jego złane potem ciało, potężnie umięśnione, bez grama zbędnego tłuszczu, lśniło światłem z lamp. Miał rzadkie, jasne włosy, małe, sine, chytre oczy i nazbyt wystające kości policzkowe.

Rzucił gdzieś w kąt drewnianą atrapę miecza i zbliżył się do Luigiego.

- Co powiedział mistrz? – spytał nie zważając na jęczących cicho „studentów” na podłodze. Jego oddech szybko powrócił do normy.
- Przygotowujemy się – odparł poważnie.
- Wspaniale – zacisnął pięści z pasją Punin.
- Ty na razie zostajesz – dodał obojętnie Luigi.
- Co?!
- Taka jest decyzja.

- Jestem w twoim wieku i żyję tu jak ty, od dzieciństwa! Jestem lepszy w tym od ciebie, wiesz o tym! - jego nos zatrzymał się centymetr od twarzy Luigiego.
- Milcz! – mruknął cicho Balea – Tu są studenci.
- Wyjdźcie! – wrzasnął w ich stronę wściekły Punin.

Czwórka obolałych chłopców, z których najstarszy miał najwyżej dziewiętnaście lat, szybko zebrali się z podłogi i w pośpiechu opuścili salę, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

- Przestań knuć za moimi plecami! – warknął Punin – Nie pozbędziesz się mnie. To ja znalazłem tego Polaka!
- Nie ty, Iosif, tylko ludzie, których tobie przydzielono – Luigi nawet na chwilę nie stracił zimnej krwi. Jego obojętny wyraz twarzy wydawał się tak naturalny, jak śnieg na Syberii.

Punin rzucił z wściekłością zielonym habitem o podłogę, wydobywając z siebie wrzask, który z pewnością było słychać nawet za drzwiami.

- Ty głupcze! – rzucił z pogardą Balea i ruszył w stronę drzwi.
- Dlaczego?!!! – wrzasnął za nim Iosif – Dlaczego ciągle ty?!!!

Luigi nie zamierzał dłużej tego słuchać. Otworzył drzwi i szybko za nimi zniknął.

Aureil wyłączył podgląd sali treningowej i zasunął ogromny obraz Joakima Skovgaarda, za którym znajdowały się ekrany. Podeszedł do swojego ogromnego biurka i nacisnął zielony przycisk po prawej stronie. Kiedy usłyszał odpowiedź strażnika, nachylił się nad mikrofonem i rozkazał:

- Przyślij mi tu Iosifa Punina!

- Masz papierosa? – spytał Jacuś.
- Nie mam – odparł cierpliwie Krzysztof i zamknął oczy usiłując odpocząć. Leżał na swoim łóżku na wznak w szlafroku.

Jacuś podszedł nieśmiało do niego drapiąc się neurotycznie prawą ręką w lewe ucho.

- Źle się czujesz? – spytał nie otwierając oczu Lorent. Wyczuł chłopaka bez problemu, ale wiedział, że nie umie być agresywny, ani w żaden inny sposób niebezpieczny czy groźny.
- Mój organizm wymaga uspokojenia.

Krzysztof otworzył oczy.

- Coś się stało?

Jacuś rozłożył bezradnie ręce.

- Niestety, wciąż jestem śledzony – stwierdził – Ponad wszelką wątpliwość.
- Rozumiem – odparł spokojnie Lorent – A nie uważasz, że fakt przebywania w tym szpitalu trochę cię jednak chroni?

Jacuś machnął ze zrezygnowaniem ręką i przysiadł nieśmiało na łóżku księdza.

- Co oni tu mają za ochronę! Wiesz co to dla nich, przeniknąć przez takie drzwi czy bramę tam na dole? To pestka! Nic! Masz papierosa?
- Wiem, że musisz się uspokoić, ale akurat w tym pokoju raczej jesteś bezpieczny. Wszyscy jesteśmy tu świadkami;

ja, pan Alojzy – Krzysztof wskazał na leżącego pod ścianą katatonika.

- Pan Alojzy?! On nawet nie wie o co w ogóle chodzi!
- A ja?
- Myślisz, że mógłbyś ich zauważyć?- spytał Jacuś z nadzieją.
- Jestem sługą Bożym – Krzysztof powiedział to niechętnie, ale wiedział, że ciężko o lepszy argument.

Chłopak zamyślił się zanurzając twarz w dłoniach.

- Gdyby nie te cienie... – jęknął płaczliwie po chwili – Wiesz jak to jest... jestem zmęczony.
- Rozumiem. Połóż się, popilnuję otoczenia. Na pewno teraz się nie odważą.
- Lubię kolor zielony. I panią Karpińską, mieszka naprzeciwko mamy – wyznał szczerze Jacuś – A ty lubisz na przykład Beatlesów?
- Nie zgadzam się z niektórymi rzeczami, o których śpiewali, ale... raczej tak.
- Johna śledzili i w końcu go zabili 9 grudnia o 22.30. George`a otruli...
- George Harrison zmarł na raka gardła i krtani.
- 29 listopada 2001 roku – uzupełnił chłopak – Ale to tylko wersja oficjalna. Dwa lata wcześniej już próbowano go zabić, nie sądzisz?
- Napadł go zwykły rabuś – odparł cierpliwie Krzysztof.
- Boże, jaki ty jesteś naiwny! – zachnął się Jacuś i zerwał się z łóżka – Nie potrafisz wyjść poza te zwykłe pięć zmysłów! Świat szumi, mówi, kołysze się, straszy, pociesza, morduje, ale nikt tego nie słyszy. Nikt nie słyszy

tych głosów. A jak stajesz się wyjątkowy, wtedy przeklinasz tę chwilę i nie chcesz... Masz papierosa?

- Nie mam – Krzysztof ponownie zamknął oczy.
- Ile razy rozmawiałeś z Bogiem? – nie dawał za wygraną chłopak – Przyznaj się. Ile razy słyszałeś jego głos?
- Codziennie.
- Co codziennie?
- Codziennie rozmawiam z Bogiem. Po prostu czuję w sobie jego wolę i głos.
- Tak dosłownie?!
- Umiem się na to otworzyć.
- I to nie wyobrażenie?
- Nie.
- Ale słyszysz go tak jak mnie teraz? W taki sposób?
- Nie w taki sposób.
- To z nim nie rozmawiałeś! – zawyrokował Jacuś.

Krzysztof otworzył oczy i usiadł na łóżku. Był wyraźnie znużony, ale uznał, że chłopakowi należy się wyjaśnienie.

- Jacku... nie jesteś Bogiem. Jesteś człowiekiem. Nie możesz rozmawiać ze Stwórcą jak z ludźmi. Z Bogiem rozmawia się językiem wiary. Wpuszcza się go do swojego serca i dzięki temu uczy się pokory, miłości, czasem poświęcenia, czasem cierpienia. Ci którzy „słyszą” Boga w sposób w jaki my tu rozmawiamy ulegają zwykłej ułudzie i najczęściej są chorzy – Lorent uśmiechnął się do chłopaka usiłując złagodzić ciężar tych ostatnich słów.
- Przebywam w tym szpitalu bo jestem inny, a nie chory to znaczy jestem chory ale... jestem tu bo mam takie.... lęki i trudno mi być wtedy samemu... – głos chłopca stał się

placzkliwy - Dlaczego ja?! Dlaczego nie mogę być zwykłym studentem?!!!

- Spokojnie, wszystko dobrze. Po prostu masz gorszy dzień... – ksiądz próbował nieśmiało wyciągnąć do niego rękę.

Jacuś zacisnął mocno usta, stał przez chwilę szukając odpowiedniego słowa po czym nagle wybiegł z sali.

- Jacek! – Krzysztof krzyknął za nim, ale chłopak był już daleko na korytarzu - Przepraszam...

Spuścił głowę. Dotknął czubkami palców czoła i pozostał tak w bezruchu kilka chwil. Po minucie, może dwóch, usłyszał na korytarzu kroki, a następnie skrzypnięcie drzwi, ale nie był to żaden chory, ani nawet lekarz. Tym razem pojawiła się w nich zwalista postać księdza Demela.

- Jak się czujesz? – spytał szybko z niekłamana troską w głosie proboszcz.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, nieźle – odparł niemal pogodnie Krzysztof – A co u ciebie, wujku?

- Trochę pusto.

Lorent wydusił z siebie uśmiech.

- Nie zaniedbujesz chyba wiernych?

Tym razem, co może wydać się niewiarygodne uśmiechnął się proboszcz.

- Rozmawiałem z tutejszym personelem – szybko spowaźniał kiedy tylko wypowiedział te słowa.

- To chyba nie był najlepszy pomysł – skomentował szybko Krzysztof.

- Dlaczego?

- Wybacz, że to mówię, ale nie sędzę, abyś znalazł z nimi wspólny język.

- Nie rozumiem...

- Rozumiesz – odparł ciepło, ale bez cienia wątpliwości Lorent.
- Znowu zaczynasz – pokręcił z niezadowoleniem głową proboszcz – Możesz mieć mnie za oschłego, ale nie za ograniczonego. Starąłem się nawiązać z nimi odpowiedni dla naszej sytuacji kontakt.
- I jak wam poszło? – spytał znając odpowiedź Krzysztof.
- To nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Nie zapewnią ci tu takiej opieki jak trzeba.

Ksiądz Demel zaczął chodzić po sali w tę i z powrotem, mrugając śmiesznie oczami. Długo przy tym milczał, ale widać, że zbierał się do dłuższej przemowy. Głośno oddychał, pocierał o siebie dłonie, co kilka sekund spoglądając na swojego wychowanka.

- Nie denerwuj się – uspokoił Lorent – Nie są tacy źli.

Proboszcz ponownie pokręcił głową.

- Nie powinieneś tu być – upierał się – Wyraźnie ci się poprawia, czujesz się coraz lepiej, a ta atmosfera zatruwa twój umysł!
- To szpital dla umysłowo i psychicznie chorych, wujku. Jaka ma być tu atmosfera? Modlitewnego skupienia?
- Przeszły ci już te... przewidzenia, prawda?
- Tak – skłamał Krzysztof, ale Demel wyraźnie go do tego zmusił.
- To co tu jeszcze robisz? Mój ojciec miał w pięćdziesiątym trzecim zapalenie mózgu. Po pewnym czasie wszystko wróciło do normy i przeżył jeszcze sporo pięknych lat...
- Nie planuję umrzeć – zapewnił Lorent.
- No ja myślę. Chciałbym się zastanowić wspólnie z tobą jak zorganizować twój powrót.

Krzysztof nieznacznie drgnął. Znów dotknął lekko czubkami palców swojego czoła, jakby zastanawiał się czy przypadkiem nie warto przemilczeć tego o czym właśnie chciał powiadomić przełożonego. Przymknął oczy, aby móc łatwiej się skupić i wyrównać oddech, zakłócony nieco myślami, które opanowały jego umysł i nie pozwalały być spokojnym. Do rozmowy na ten temat przygotowywał się już od kilku dni, ale mimo wszystko nastąpiła chyba zbyt szybko.

- Ja już nie wrócę, księże proboszczu – powiedział cicho, ale nawet taki ton podziałał na Demela jakby ktoś rzucił w niego stukilowym odważnikiem.
- O czym ty mówisz?! Przecież przed chwilą...
- Nie wrócę już do kapłaństwa – wyjaśnił krótko i treściwie Lorent.

Nastąpiła dość długa i kłopotliwa cisza. Szeroko otwarte oczy proboszcza zdradzały bezradność i niedowierzenie.

- Nie rozumiem...
- Jeśli mnie stąd wypuszczą wujku, odejdę z Kościoła. Przestaną być księdzem.
- Ale... dlaczego?! Jak to w ogóle możliwe?
- Nie sądzę, abym potrafił ci to teraz wytłumaczyć.
- Może jednak spróbuj – głos proboszcza wyraźnie się załamał.
- Myślę, że Bóg... czuję to... wyznacza mi teraz inne zadania. Ja muszę w tej chwili robić coś innego.
- A co można robić lepszego dla Boga niż mu służyć?!
- Nie mówię, że to co zmuszony jestem robić, będzie lepsze. Mówię tylko, że to konieczne.

Demel ukrył twarz w dłoniach.

- Nie mogę tego słuchać. Mówiłeś, że jest ci lepiej, że zdrowiejesz.
- Nigdy nie byłem chory – odparł śmiertelnie poważnie Krzysztof zaglądając głęboko w oczy proboszczowi – Ani oni, ani ty nie jesteście w stanie tego zrozumieć, ale to prawda.
- Wszyscy pacjenci w tym szpitalu tak mówią! – nie wytrzymał Demel.
- To nie ma sensu – pokręcił ze zrezygnowaniem głową Lorent – Porozmawiajmy kiedy indziej.
- Uspokój się. Mam głęboką wiarę, że to minie i wszystko skończy się dobrze.
- Nic nie minie.
- Ja wiem swoje.
- Nie zmienię zdania, wujku.

Demel uśmiechnął się jakby kompletnie nic się nie stało.

- No chyba rzeczywiście pora na mnie. Przyjdę jutro.
- Nie wierzysz mi?
- Jutro porozmawiamy – proboszcz podszedł do drzwi chwiejnym krokiem – Oby Bóg miał cię w swojej szczególnej opiece i zesłał na ciebie błogosławieństwo zdrowia i głębokiej wiary.

Aureil przywitał Punina dobrotliwym starczym uśmiechem.

- Zbliź się chłopcze! – wskazał mu miejsce na drewnianym krześle, metr od swojego biurka, za którym siedział.
- Wybacz ojcze, nie zdążyłem jeszcze wziąć kąpieli – Iosif schylił nisko głowę.

- Nie szkodzi, nie będę cię długo zatrzymywał.

Mistrz wstał i wolno zaczął chodzić po komnacie.

- Wszystko w porządku, chłopcze? Zdrowie dopisuje? – spytał pogodnie.
- Jak najbardziej, ojcze.
- Postępy w treningach?
- Zadawałające, ale wciąż czynię wysiłki, aby dążyć do osiągnięcia maksymalnych możliwości.
- To dobrze, dobrze...

Aureil pogłodził wolno swoją siwą czuprynę, spacerując przez chwilę w milczeniu.

- Wiesz jak kocham swoje gołębie? – zapytał nagle.
- Tak Mistrzu, wszyscy to wiemy.

Starzec rozłożył ręce jakby borykał się z problemem, na który nie mógł znaleźć rozwiązania.

- Mam z nimi ostatnio sporo zmartwień.
- Coś się stało? – spytał niepewnie Punin.
- Od dobrych kilku dni zachowują się niespokojnie. Mniej jedzą, odnoszę nawet wrażenie, że ich społeczne zachowania straciły na sile.

Zakłopotanie na twarzy Iosifa nie wywołało żadnej reakcji starca.

- Legendy o tym, że łączą się w pary na całe życie są prawdziwe. – ciągnął - Jeden samiec wybiera sobie partnerkę i zostaje z nią do końca, chyba... że zdarzy się jakieś nieszczęście.

Aureil przeniósł wzrok na młodzieńca i zmarszczył brwi.

- Czasem jednak nie jesteśmy w stanie odgadnąć co... tak wrażliwe stworzenie może wpędzić w nieszczęście. Gruboskórni, arogancy homo sapiens dawno już utracili

cechującą ich jeszcze paręset lat temu empatię w stosunku do prawdy natury, nie sądzisz?

- Tak... to możliwe – odparł nieśmiało Punin.
- Gołębiom być może wystarcza samo przecucie nieszczęścia... – Aureil znowu pogładził charakterystycznym gestem swoje włosy – Może wyczuwają niepokój u innych? Nie bez przyczyny są symbolem pokoju, bo właśnie wtedy gdy milknie nienawiść, zazdrość, zawiść... gdy podłość zwycięża miłość, jak wykazują liczne przesłanki, gołębie są wtedy najszcześniejsze. Dają się dotykać ludziom, płodzą liczne potomstwo, mają apetyt...
- Tak, tak. Też o tym słyszałem.
- Jak myślisz Iosif, czy jest możliwe, że w naszym otoczeniu, mogło zdarzyć się coś co powinno niepokoić, nawet tak nieświadome zwierzęta jak moje gołębie? Wiesz... one są jak najczulsze urządzenia – uśmiechnął się starzec.
- Nie zauważyłem, aby w zamku... to znaczy w naszej społeczności miały ostatnio miejsce jakieś niepokoje. Natychmiast bym o tym ojca powiadomił – oświadczył pewnym głosem Punin.
- Rozumiem. To mi wystarcza. Możliwe przecież, że to ta nowa karma, którą przywiózł z Paryża Cloude.
- Czy mogę odejść? – spytał z nadzieją Iosif.
- Oczywiście. Przepraszam, że cię niepokoiłem. Wiesz jak to jest; stary człowiek czasem musi wylać swoje żale.

Młodzieniec uklonił się z szacunkiem i zaczął iść w kierunku drzwi.

- A, jeszcze jedno! – dogonił go głos Aureil`a.

- Tak, Mistrzu?
- Skoro już mnie odwiedziłeś... zapytam: a ciebie nic nie martwi? Masz wszystko czego ci trzeba?
- Niewiele mi potrzeba, ojciec – odparł w dumą Punin.
- Wiem, ale mów śmiało – zachęcił starzec.

Iosif przez chwilę walczył z myślami.

- Wszyscy przygotowujemy się na spotkanie z Kapłanem. Staram się oczywiście zachować należyty spokój, ale... jestem tym podniecony i wiele sobie po tym obiecuję.
- To oczywiste. Doskonale cię rozumiem. Dla każdego z nas to wielkie przeżycie – przyznał dobrotliwie Mistrz – Musimy się dobrze przygotować.
- Tak, ojciec.
- Jak uczy nas historia, cierpliwość jest jedną z najpotężniejszych, ale i niestety najrzadziej spotykanych cnót. Jej brak strącał już z piedestału największe potęgi tego świata. Najmężniejsi herosi ginęli popełniając ten błąd. A na historii, znamy się tutaj chyba szczególnie dobrze, prawda chłopcze?
- Tak, Mistrzu.
- Tak a`propos historii... wiesz jakie słowa wypowiedział wielki Ajaks pod Troją, gdy zobaczył na polu bitwy Hektora?
- „Oto wreszcie człowiek, którego warto zabić”.
- Właśnie. I co uczynił?
- Ruszył na Hektora...
- ... i zginął – dopowiedział Aureil – Wielki, niezwyciężony Ajaks, który stanął u wrót miasta swoich marzeń, w najsłynniejszej bitwie wszechczasów, której każdy bohater miał przejść do historii. I właśnie w tej, najważniejszej

chwili, taki heros nie potrafił zrozumieć, że jeszcze nie czas. Że bogowie wyznaczyli Hektorowi inny moment na śmierć.

Starzec zbliżył się do Punina i położył mu na ramieniu dłoń.

- Całą sztuką życia, mój chłopcze – ciągnął Mistrz – Jest umiejętność znalezienia w sobie wiedzy nie tylko na swój temat, ale także na temat własnego przeznaczenia. To również tkwi z nas – Aureil ponownie zmarszczył mocno brwi.
- Wiem jak to trudne, ojcze – powiedział cicho Iosif.
- Na pewno? – palce starca zacisnęły się na ramieniu Punina, aż chłopak poczuł wzbierający ból.
- Staram się, Mistrzu! – jęknął
- Nie zawsze śmierci da się uniknąć – ciągnął Aureil nie zwalniając uścisku – Ale nigdy ona nie może być pozbawiona sensu.
- Tak Mistrzu!
- Achilles, ulubieniec bogów, niemal nieśmiertelny rycerz, zanim wybrał się na tę wojnę przyszedł do matki prosząc o radę. „Jeśli nie pojedziesz tam, będziesz żył długo” – odparła – „Ale gdy prochy twoje znikną pod ziemią, zginiesz na zawsze. Jeśli jednak pojedziesz tam, już nie wrócisz, ale w umysłach ludzi będziesz żył wiecznie”. Co wybrał wiemy wszyscy. Tylko czy mądrze? – Aureil zacisnął jeszcze mocniej uścisk.
- Nie wiem, ojcze.... – jęknął chłopak czując jak zaczyna się trząść się z bólu. Żelazne imadło precyzyjnie uciskające nerw promieniowy powodowało trudne do wytrzymania cierpienie.

- Dobrze! – odparł łagodnie starzec i lekko zwolnił uścisk – Tylko on mógł znać prawidłową odpowiedź na to pytanie. My nie dowiemy się już nic więcej, co najwyżej możemy być mu wdzięczni za jego wielkość.
- Tak, ojcze.
- Czy obiecasz mi, że w modlitwach i indywidualnej medytacji poświęcisz więcej czasu temu zagadnieniu?
- Tak, ojcze!
- Czy zajrzysz w głąb siebie czyniąc najwyższe starania, aby wydobyć prawdę?
- Taaak ojcze... – Iosif wciąż nie mógł powstrzymać drżenia całego ciała.
- Wracaj do siebie rycerzu. Jeśli Bóg cię wybrał, będziesz o tym wiedział – zakończył spokojnie Mistrz zdejmując rękę z jego ramienia.

Punin był przerażony.